

## ZDZISŁAW TOMASZEWSKI

---

Strzelec podchorąży Zdzisław Tomaszewski, 6 Batalion Czołgów „Dzieci Lwowskich”.

---

W pierwszych dniach okupacji naszych terenów przez bolszewików zaczęły się aresztowania pozostałych władz cywilnych, wojskowych, policji i osadników. Te aresztowania odbywały się przeważnie w dzień. W lutym 1940 r. rozpoczął się pierwszy masowy wywóz rodzin osadników i policjantów. Przy 30-stopniowym mrozie zabierano w nocy rodziny z domu, załadowywano do wagonów towarowych, w których to czekano po kilkanaście dni zanim dany transport odjechał do Rosji. Warunki w tych wagonach były straszne. Bez picia i bez jedzenia ludzie siedzieli i przymierali głodem. Przeważnie umierały dzieci, nie mogąc przetrzymać tych warunków, a zwłaszcza zimna. Wiosną 1940 r. rozpoczęła się formalna czystka na terenach okupowanych. Aresztowano wszystkich, nie tylko inteligencję, ale i robotników. Wszystkie te aresztowania odbywały się w nocy. Nocą zajeżdżało auto pod dom, do domu wpadała sfera NKWD-zistów, pod pozorem sprawdzenia dokumentów zabierano na NKWD i od tej chwili za osobą aresztowaną ślad ginął. Wśród społeczeństwa zapanował strach. Ta ciągła obawa przed aresztowaniem trzymała całą ludność w niebywałym napięciu nerwowym. Nie było się pewnym dnia ani godziny.

W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 r. rozpoczął się drugi etap wywozu rodzin. Noc ta była podobna do nocy św. Bartłomieja. Śpiących ludzi zrywano z łóżek, sadzano na samochody, następnie ładowano do wagonów. Zabierano ich pod pozorem zawiezienia do mężów, którzy poprzednio zostali aresztowani. Nie pozwalano nic zabierać ze sobą. Pozostałe urządzenia mieszkań rozprzedawano między NKWD i śmieszne sumy pieniężne ze sprzedaży oddawano rodzinie. Ale nie zawsze tak robiono, bo bardzo często nic nie sprzedano [?], a do urządzonego mieszkania wprowadzały się zbiry z NKWD. Od tej chwili nie było spokojnej godziny. Ludność, obawiając się wywozu i nie chcąc być zaskoczona, sama pakowała się

i wyprzedawała rzeczy, żeby w razie wywozu mieć jakiś grosz przy sobie. Po domach widziało się próżne mieszkania, w których były tylko toboły z bielizną i ubraniami, a na nich siedziały rodziny i oczekiwały, kiedy te zbiry przyjdą i zabiorą ich.

Mnie aresztowano z końcem kwietnia 1940 r. Zabrano mnie w nocy z domu. Najpierw trzymano mnie przez [brak] dni w NKWD na ul. Pełczyńskiej we Lwowie. Stamtąd zabrano mnie do więzienia na Zamarstynów. W celi o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych siedziało nas 27. Warunki były straszne. Liche odżywianie, niemożność spania z powodu ciasnoty. Latem tośmy się formalnie dusili z braku powietrza i z gorąca. Na przechadzkę wypuszczano nas raz na dwa tygodnie na 15 minut. Przeglądania odbywały się tylko nocą. Dwa razy w tygodniu były rewizje w celach. Te rewizje też przeprowadzano w nocy. Zgraja strażników wpadała do celi, wyganiała na pół nagi ludzi na korytarz i rewidowała, a druga część strażników przeszukiwała cele. Po powrocie do celi nie można było się doszukać swoich rzeczy. Jeżeli chodzi o metody śledztwa, to były różne. Głodzono ludzi, następnie wbijano szpilki za paznokcie, zgniatano palce między drzwiami, bito do nieprzytomności. Następnie cucono i dalej bito albo trzymano w karcerach zimnych, ciemnych, na zmniejszonej racji żywnościowej. Łączności z rodzinami żadnej nie było, gdyż nie wolno było pisać listów. Masę wyroków było zaocznych. Odbywało się to w ten sposób, że danego więźnia wywoływano z celi, odczytywano mu wyrok kolegium sędziów NKWD i do tej celi [on] już nie wracał.

22 grudnia zabrano mnie do Starobielska. Tam trzymano nas w barakach. Ponieważ byliśmy jeszcze w [trakcie] śledztwa, więc na roboty nie chodziliśmy. Warunki też były okropne. Bielizny czystej zupełnie nam nie dawano, spaliśmy na gołych deskach. 16 czerwca 1941 r. zabrano nas i wywieziono na Kołymę. Przez 26 dni jechaliśmy pociągiem towarowym. W wagonie było nas 47. Brakowało wody i jedzenia. Następnie załadowano nas na okręt, którym jechaliśmy sześć dni. Na okręcie brakowało miejsca. Warunki higieniczne [były] pod psem, nie było opieki lekarskiej.

Po przywiezieniu rozestano nas po całej Kołymie. Jedni pojechali do kopalni złota, drudzy do kopalni ołowiu, węgla, a ja dostałem się na budowę lotniska. Praca wśród tajgi w moczarach. Trzeba było to najpierw osuszać, karczować, a następnie niwelować. Miliardy komarów niesamowicie nam dokuczały. Spaliśmy w barakach na gołych deskach, całymi tygodniami nie myjąc się z braku wody i nie rozbierając się. Wszy i pluskwy nie dawały nam spokoju. Normą było wywiezienie taczkami dziennie 30 m<sup>3</sup> ziemi wraz z kopaniem. 90 proc. ludzi nie mogło wykonać tej pracy, toteż dawano [im] karne jedzenie, które składało

się z 250 g chleba i pół litra zupy dziennie. Ludzie padali z przemęczenia i z głodu i prawie wszyscy chorowali na szkorbut.

Ustosunkowanie się więźniów sowieckich do nas było okropne. Bito nas i popychano na każdym kroku. Sporo ludzi umarło z wycieńczenia, m. in. Stasziewicz, Urbański, Grzesik, Gołębiowski, Nowak, Ręka, Zilbersztajn i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam.

Zostałem uwolniony 8 grudnia 1942 r., a wyjechałem z Kołymy 1 stycznia 1943 r.